

Jakub Sikora i Paweł Żydowicz

Radość rozdają muzyką

Życie jest za krótkie, żeby się smuć. Dlatego nawet kiedy idzie ci trochę gorzej, trzeba się cieszyć. Taka dewiza łączy Jakuba Sikorę i Pawła Żydowicza.

Gdyby nie odmienne powierzchowności, w obu można by dostrzec zgoła bliźniaków. Obaj tyszanie, obaj po 24 lata, z wykształcenia obaj inżynierowie górniczy z dyplomami Politechniki Śląskiej, od kilku miesięcy obaj poważni sztygarzy w oddziałach wydobywczych kopalni Mysłowice-Wesoła. Skrupulatni w pracy, gdzie przede wszystkim profesjonalnymi kompetencjami wciąż budują swój sztygarski autorytet i gdzie nie ma miejsca na lekkie traktowanie obowiązków. Natomiast po zdjęciu białych hełmów – po prostu sowizdrzały, żartownisie i postrzeleńcy. Zawsze skłonni do błazeństw, zwłaszcza kiedy mają na podorędziu dwa rekwizyty – gitarę i harmonijkę.

Na górnictwo byli – jak mówią – skazani.

– U mnie w domu fedrowali wszyscy. Fedrowali w kopalni, fedrowali podczas rodzinnych imprez i uroczystości. Trudno było nie nasiąknąć – śmieje się Jakub.

– U mnie wprawdzie tylko dziadkowie i wujowie, ale też wyrastałem w klimacie fedrowania – zauważa Paweł.

U obu wybór kierunku studiów i zawodowej drogi był więc niejako naturalny. Ale w obu domach były też instrumenty muzyczne: pianino, akordeon, skrzypce. I bywały w użyciu między fedrowaniem. Jakub próbuje nawet podkpiwać, że Paweł otarł się muzycznie o Ryszarda Riedla, ale – znając już metryki żartownisów – nie daje się nabrać na tego rodzaju powinowactwo.

KOŁYSANY PRZEZ RIEDLA

– Rysiek Riedel mieszkał piętro niżej. Kiedy więc na przykład spotykał mamę pod sklepem ze mną w wózku, często pohuśtał kilkumiesięcznego brzdąca – tłumaczy tę „zażyłość” z kultowym liderem Dżemu Paweł Żydowicz.

Przyjaźń Jakuba i Pawła trwa od liceum. Jej podstawą stało się wspólne upodobanie do muzycznych improwizacji na gitarę i akordeon. Specyficznego kolorytu dodawali im wariacjami na harmonijce.

– Wymienialiśmy się pasjami. Kuba grał wcześniej i grał dobrze. W zasadzie u niego terminowałem w wydobywaniu wszystkich możliwości harmonijki. Ripowe solówki na tym instrumencie doskonale brzmią na podkładzie gitary. Ale bywa też, że gramy na dwie harmonijki – tłumaczy Paweł Żydowicz.

– Nie aspirujemy do muzycznej kariery. Fajne jest to, kiedy ludziom się podoba i świetnie się z nami bawią – mówi Jakub Sikora.

Z AKADEMIKA NA STOŁECZNE SCENY

Najpierw – to było miejsce swoistego debiutu duetu – podobało się w akademiku. Ot, studenckie noce, kiedy żacy zapominali o wykładach i zajęciach, zamieniając się w swawolną czeredę piwnych birbantów. W studenckim świątku szybko rozniosło się, że są świetni. Natomiast w świetle reflektorów obaj stanęli po raz pierwszy na scenie dorocznego święta Politechniki Śląskiej (nie mylić z juwenaliami).



– Wpadamy na miejsce, wszyscy wokół przejeżdżają, ćwiczą, nuca, grają... My, przeciwnie, pełen spokój. Nazajutrz czekał nas egzamin z transportu dołowego, więc skrypty na wierzch i wkuwamy. Zostaliśmy wywołani, książki na bok, i na scenę. Światło w oczy, nic nie widzę. No i gramy... – zaśmiewa się Jakub Sikora.

Kilka dni później w drodze na uczelnię zaskakuje kolegę, że odebrał telefon z Warszawy. Ten potraktował wiadomość jako kolejne błazeństwo Kuby. Ale nie, tym razem była jak najbardziej prawdziwa. I poszło: castingi w katowickim Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego, potem w Pałacu Kultury i Nauki, wreszcie wariacje na organki w profesjonalnym studiu muzycznym w Ursusie.

Przygodę z programem „Mam talent” też wspominają na luzie. Przecież muzyką tylko się bawią. Jakub doszedł do półfinału. Abstrahując od werdyktu jurorów, dla nich i tym razem najważniejsze było to, że się podobał.

– Z innymi uczestnikami programu poszliśmy w Warszawę. Bawiliśmy się do rana. Było super. Człowieku, z nami 25 dziewczyn, potrafiśz to sobie wyobrazić. A każda... – rozmarza się Jakub.

Cóż, po błagalnym, mitygującym spojrzeniu Pawła nie dowiedziałem się już niczego więcej o tamtych warszawskich hulankach, a zwłaszcza powabach owej dziewczęcej gromadki. Paweł od niedawna jest statecznym mężem, a Jakub ma nim zostać już niedługo.

NA PLAŻY, NA BARBÓRKOWEJ KARCZMIE...

Z improwizacji w takich właśnie okolicznościach, na festynach, dożynkach, koleżeńskich imprezach, powstają ich najlepsze muzyczne kawałki.

– Są wakacje, wieczór, plaża w Mielnie, w tle szum morza. Przycupnęliśmy na jakimś

głazie. Gramy. Ja na gitarze, Kuba na harmonijce. W pewnym momencie trąca mnie łokciem. Rozglądam się. Wokół wianuszek około 30 ludzi. Graliśmy dla nich do rana, dopóki chcieli się z nami bawić – opowiada jeden z takich epizodów Paweł Żydowicz.

Są zapraszani – to grają, troszeczkę swawolą. Ale bywa też, że dwóch sowizdrzałów wchodzi w nadmorskim kurorcie do sklepu po piwo, wcześniej uzgadniając, kto gra hiszpańskiego turystę, a kto tłumaczy zamówienie. Albo – nie znając języka – zabawiają się we francuskich bardów, z trudem tłumiąc śmiech, kiedy młodzieniec obok z powagą światowca tłumaczy dwóm panienkom, że śpiewają o miłości. Słowem, kabaret, którego założenie też kołacze im się po głowach. Ale na razie górę zdecydowanie bierze przywiązanie do sztygarskiej powagi.

Zresztą w kopalni ich muzyczne pasje też raz-dwa wyszły na wierzch. Grudzień, ich pierwsza w nowym środowisku karczma piwna Kadry, ceremoniał skoku lisów przez skórę. Już dwa dni wcześniej dyspozytor pogonił ówczesnych stażystów do pomocy w przygotowaniach. Godzinę wcześniej skądś przypomniał sobie Sikorę: – Ja cię znam, ty grasz na harmonijce. No, to skoro mamy Barbórkę, to zagracie z kolegą. – Nie dopuszczał odmowy.

– Wypiliśmy po dwa piwka i skaczemy na scenę. Główny inżynier miał akurat urodziny, więc spontaniczny recital przeszedł w koncert życzeń ze „Sto lat” dla jubilata i delikatnymi żartami pod adresem starej strzechy. Kiedy później dzwoniłem z raportem do dyspozytora, ten odpowiadał na pozdrowienie „Witam cię, harmonijkarz” – z uśmiechem wspomina Jakub Sikora.

MUZYCZNY RESET

Przyznaje, że z początku zdarzały się uszczypliwości pracowników, na ogół

anonimowe przez telefon, ale teraz muzyczne pasje młodych sztygarów są już głównie życzliwie komentowane.

Ucieczkę w muzykę sami traktują zresztą jak dobrodziejstwo.

– Kopalnia to specyficzny świat, specyficzni ludzie, potęga stresu, to pilnowanie nie tylko ton, ale przede wszystkim tego, aby nikomu z powierzonych mi pracowników nic złego podczas dniówki się nie stało. Więc wracam do domu, jem obiad, piję dobrą kawę, a później wymykam się do swojego pokoju i chwytam za gitarę. Następnie kwadrans akordeonu, a w końcu harmonijka. To jest taki reset, przeskok z jednej do drugiej rzeczywistości. Idąc następnego dnia do pracy, człowiek jest na nowo pozytywnie naładowany – tłumaczy Jakub Sikora.

Młodzi wirtuozi nie definiują swojej muzyki. Sami, poza pierwotną fascynacją muzyką Dżemu, zatapiają się w rozmaite klimaty. Słuchają ciężkiego rocka, metalu, ale nie stronią również od wielkiej klasyki. W swoich kompozycjach nikogo jednak nie naśladują, chociaż czasem łapią się na śladach inspiracji różnymi muzycznymi gatunkami. Grają nie tylko w duecie. Jakub Sikora solówkami na harmonijce i – jak sam określa – błaznowaniem dodaje kolorytu zespołowi Blue Band Blues. Paweł Żydowicz też grał w zespole, ale z czasem kapela się rozsypała.

– Jedni poszli na uczelnie, inni zaczęli pracować i zespół łycho wzięło. – Żałuje, choć wierzy, że z powrotem zdoła posklejać tę muzyczną paczkę.

Z właściwą sobie skłonnością do żartów Jakub przekonuje, że najlepsza w zespole Pawła była... wokalistka.

– Co za głos, co za... – zmrożony wzrokiem kolegi szybko ucina jednak wątek jej nie tylko wokalnych walorów.